

Feeria animacji na falach imaginacji

Diabło!, reż. Joan Baixas, Teatr Animacji w Poznaniu

JULIUSZ TYSZKA

Profesor Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, doktor habilitowany. Teatrológ.

AA



Fot. Jakub Wittchen

Portugalski poeta, pisarz, eseista Fernando Pessoa, owszem, wielkim człowiekiem pióra był i nikt mu tego nie odbierze. Nie da się zaprzeczyć, że to jeden z najwybitniejszych europejskich literatów dwudziestego wieku.

Czy jednak wszystkie z jego dwudziestu pięciu tysięcy pism są równie wartościowe? Czy taka płodność nie potrafi czasem złośliwie i znieczeka przerodzić się w słowotok? Jako czytelnicy pism płodnych geniuszy natykaliśmy się już przecież nie raz na jakieś, za przeproszeniem, wypociny. Pessoa zarabiał na życie jako urzędnik portowy, odwalając swoje obowiązki przez dwa dni w tygodniu. A potem pisał, pisał, pisał... No i wyszło mu w końcu spod pióra tyle, że nie sposób tego ogarnąć. Z pewnością był wielki, ale czy zawsze?

Bardzo ciekawy jest w tym kontekście fakt, że portugalski geniusz podpisał tylko jedno ze swych dzieł własnym nazwiskiem, a wszystkie inne (czyli przynajmniej większość) opatrzył wymyślnymi przez siebie imionami i nazwiskami – raz całkiem fantastycznymi, a innym razem zupełnie pospolitymi. Czyżby przeczuwał, że nie wszystko, co wyszło spod jego pióra, jest tak świetne, jak by tego chciał? A może nawet po prostu to wiedział?

Z drugiej strony to uwolnienie się od własnej tożsamości mogło mu pomóc w częściowym (bo przecież nie całkowitym) pozbyciu się swych ograniczeń. Literaturoznawcy twierdzą na przykład, że gdy Pessoa wcielał się pisarsko w niejakiego Álvaro de Camposa, dawał upust emocjom tak gwałtownym, o jakie nikt by go nie podejrzewał. Jego wiersze stawały się wówczas „wybuchowe”, chaotyczne, będąc niejako emanacją jego stanu ducha w wersji nie do końca literacko obrobionej. Pessoa raz nawet sam osobiście wcielił się w postać de Camposa na spotkaniu autorskim, zachowując się ponoć agresywnie i opryskliwie, czyli zgodnie z nakreślonym przez siebie zarysem osobowości jednego ze swych licznych literackich wcieleń (nazywał je bardzo oryginalnie i trafnie „heteronimami”).

Wracając do kwestii płodności Pessoa, a także przechodząc do recenzencko-teatralnych obowiązków – nie chcę tu burzyć pomników, ale fragmenty marynistycznej poezji Álvaro de Camposa, które usłyszałem na scenie poznańskiego Teatru Animacji, nie spowodowały u mnie „wstrząsu estetycznego”. Wydały mi się, noszącą znamiona elegancji, a nawet wytworności, konfekcją literacką. W teatrze dramatycznym lub amatorskim końcowym rezultatem ich wyrecytowania byłby całkiem udatny, choć nudnawy efekt w postaci „nastrojowego wieczoru poetyckiego” – i tyle. No, ale (tu przejdźmy do meritum) podkreślić, a nawet wręcz od razu krzyknąć należy, iż owo wyrecytowanie miało miejsce w teatrze animacji, a scenicznymi wykonawcami byli aktorzy-lalkarze. Tacy to nawet ze zgrzebnego płaszcza potrafią uczynić jakąś żywą, węzowatą istotę, która wyrwa się z ludzkich ramion na wolność, a z nagich, odartych z kory gałęzi istne wcielenie poetyckich marzeń o wszechpięknie wszechświata. W akompaniamencie ich animatorskich działań w tym niezwykłym, poetyckim teatrze przedmiotu marynistyczne strofy Pessoa-de Camposa uzyskały „ponadkonfekcyjny”, wzniosły wymiar, wzywając nas, widzów, do odważnego zmierzania się z bezkresem oceanów, a przede wszystkim do bezwarunkowego zanurzenia się w kusząco wzburzone fale własnej uwolnionej od stereotypów wyobraźni.

Zacząło się to wszystko od krótkiej informacji o tym, kim był Pessoa (wypredzając nieco wypadki dodajmy, że nieco później aktorzy i aktorki, wcielający się w znudzonych urzędników lisbońskiego portu, skrupulatnie wymienili kilkadziesiąt „heteronimów”, jakimi podpisywał on płody swej literackiej inwencji). Ten narratorski wstęp został po prostu wypowiedziany z frontu sceny bez żadnych animacyjnych akompaniamentów. Był niestety konieczny, by widzowie po prostu ciut precyzyjniej pojęli, o co tu zaraz będzie chodziło, gdy ich wyobraźnia zostanie bezpardonowo zaatakowana poezją oraz feerią zadziwiających pomysłów rodem z dorosło-dziecięcych zabaw eksplorujących granice ludzkiej fantazji.

Potem na scenę został wciągnięty długi wózek wyladowany starannie ułożonym stosem książek. Za tym „murem”, barykadą, a może po prostu za jakimś dziwnym, wymyślnym biurkiem usiadło sześć osób odzianych w coś jakby więzienne, znoszone płaszcze i czapki, oddając się wytężonej, śmiertelnie nudnej pracy portowych biuralistów. Ich monotonne wyliczanie, co gdzie jest ładowane i jaki jest port przeznaczenia danego ładunku, z pewnością wiernie oddawało cotygodniową, dwudniową biurokratyczną rutynę, jakiej podlegał w swym codziennym życiu Pessoa. Tyle że tutaj wzmianki o dalekich trasach frachtowców pobudziły szóstkę śmiertelnie znudzonych urzędniczek i urzędników do gwałtownego, kilkudziesięciominutowego wybuchu animacyjnej kreatywności. Zgrzebne płaszcze zostały zrzucone na podłogę i okazało się, że pod nimi aktorzy i aktorki mieli... nie! – nie były to wcale jakieś kolorowe, feeryczno-poetyczne ciuszki, tylko granatowe robocze kombinezony. W ten sposób stali się oni dla nas „robotnikami wyobraźni”, a ich neutralny strój nie przeszkadzał nam w kontemplowaniu przedziwnych, niecodziennych, pełnych plastycznej urody wydarzeń, jakie za ich sprawą rozgrywały się na scenie.

Książka, kilkanaście długopisów i kawałek plasteliny pozwoliły, na przykład, jednemu z nich (Markowi Cyrisowi) na zbudowanie całkiem udatnego modelu statku, który za sprawą kolejnych animatorek i animatorów przepłynął wkrótce cały „beźmiar” długiego „blatu biurka”, czyli wierzchu stosu książek. A potem rozpętało się „animacyjne rozpasanie”, z nagłymi gałęziami, polaciami płóciennych „żagli” zamalowywanych nurzanymi w farbach dłońmi w różne „pięknie” wzorki i odpowiednio podświetlanych, no i ze wspomnianym tu już „tańczącym płaszczem”, z którym ruszał rażno w tan Marcin Ryl-Krystianowski, walcząc z jego pędem ku dżikiej swobodzie. Piętrzące się, wszechpanujące na scenie książki można było dość łatwo skojarzyć z oceanicznym żywiołem, o którym cały czas poetycko napomykali aktorzy, a zadumane, nostalgiczne wokalizy Julianny Dorosz – ze śpiewem syren zaludniających morską toń i wabiących nieostrożnych wilków morskich ku przepastnej głębinie.

Głównym sprawcą tej animacyjnej uczty jest sprowadzona do Poznania za sprawą nieocenionych wysiłków menedżersko-dyplomatycznych dyrektora Marka Waszkiela kolejna artystyczna znakomitość – kataloński malarz i wszechstronny twórca teatralny Joan Baixas. W latach 1967-1988 prowadził w swej rodzinnej Barcelonie autorski Teatre de la Claca, a przedtem, potem i w międzyczasie współpracował z tyloma znakomitymi artystami w tylu renomowanych miejscach (głównie galeriach sztuki współczesnej), że samo pomyślenie o nich paraliżuje i onieśmiela. W codziennej pracy okazał się, jak wyznali w rozmowie z Wielkopolską Telewizją Kablową aktorzy Marta Berthold i Marcin Ryl-Krystianowski, człowiekiem „cudownie szalonym”, emanującym dobrocią i zaskakującym swych współpracowników spolegliwością, zachętami do współtworzenia oraz różnymi stymulującymi ich wyobraźnię sympatycznymi niespodziankami. Taki ktoś z pewnością mógł sprostać postawionemu sobie karkołomnemu zadaniu, by – jak sam się wyraził w wywiadzie dla WTK – „pokazać poezję”. I dalebóg – pokazał!

Na koniec pozwolę sobie na krótkie podsumowanie: oto jak z bicia trzasł przeminęły trzy sezony dyrektorowania Marka Waszkiela w poznańskim Teatrze Animacji. Dowiodły one ponad wszelką miarę, że słuszną intuicję miał z górą trzy lata temu ówczesny wiceprezydent Poznania Dariusz Jaworski, uruchamiając wielką moc perswazji, by skłonić Waszkiela do objęcia schedy po odchodzącym na emeryturę, znakomitym, wielce zasłużonym Januszu Ryl-Krystianowskim. Nowy dyrektor „ruszył z posad bryłę” poznańskiego teatru (i tak już nieźle rozpedzoną przez poprzednika), nadając jej działaniom nowy, nieznaný dotąd wymiar, podobnie jak uczynił kilka lat wcześniej w Białymstoku. Sam będąc nie reżyserem, lecz teatrologiem, historykiem lalkarstwa, a zarazem niezwykle aktywnym działaczem Międzynarodowej Unii Teatru Lalek, uruchomił swoje międzynarodowe kontakty, umożliwiając swemu zespołowi pracę z największymi znakomitościami światowego teatru animacji. Repertuar, jaki ten zespół zdołał wypracować w czasie trzech lat frenetycznej, szalonej wręcz momentami aktywności, można teraz eksploatować przez wiele sezonów, wykorzystując ten bezcenny, podarowany Poznaniowi przez Waszkiela kapitał.

Chciałoby się w ślad za Jackiem Lechem zaśpiewać odchodzącemu dyrektorowi „Nie mówię żegnaj, lecz do widzenia, możesz jak dawniej przychodzić tu”, lecz nie jest to typ poezji, jakim chciałoby się uraczyć Marka Waszkiela – intelektualistę, aktywistę i znakomitego menedżera. Wystarczą zatem proste, żołnierskie „dzięki” i „do zobaczenia”.

07-06-2016

GALERIA ZDJĘĆ

DIABŁO!, REŻ. JOAN BAIXAS, TEATR ANIMACJI W POZNANIU



ZOBACZ WIĘCEJ



Teatr Animacji w Poznaniu

Diabło!

na podstawie tekstów Fernando Pessoa

scenariusz, reżyseria, scenografia, opracowanie muzyczne: Joan Baixas

tłumaczenie: Dorota Kwinta

wideo: Jakub Oleg Wojciechowski

obsada: Marta Berthold, Julianna Dorosz, Sylwia Zajkowska, Marek Cyris, Marcel Górnicki

Marcin Ryl-Krystianowski

premiera: 27.05.2017

TAGI: Fernando Pessoa, Joan Baixas, Poznań, Teatr Animacji,

Udostępnij

SKOMENTUJ

Autor

lub zaloguj się

Treść komentarza

Aby potwierdzić, że nie jesteś robotem, wpisz wynik działania:

jeden razy osiem jako liczbę:



KOMENTARZE (0)